

## Bartosz Jastrzębski: Pochwała konserwatyzmu

To, co w czasach Burke'a było ponurą antyutopią stało się obecnie rzeczywistością. Wszechwładni dziś niemal liberałowie (a już zwłaszcza lewicujący) zachowują się jakby spadli z Księżyca jako absolutne *tabula rasa*



To, co w czasach Burke'a było ponurą antyutopią stało się obecnie rzeczywistością. Wszechwładni dziś niemal liberałowie (a już zwłaszcza lewicujący) zachowują się jakby spadli z Księżyca jako absolutne *tabula rasa*

Osiągnąwszy szczęśliwie wiek męski, szacowną cezurę lat czterdziestu (a więc ową sławną Jungowską „drugą połowę życia”, w której człowiek winien się zacząć kierować stopniowo ku sprawom ostatecznym, a odwracać od ziemskiego pyłu przemijalności) porzuciłem nareszcie, bez żalu zresztą i całkiem świadomie (a przy tym w pełnej zgodzie ze zgromadzonym doświadczeniem życiowym), wszelkie „urojenia reformatorskie”. Dziś wiem, że „świata nie zmienisz” (ludzi zresztą chyba też nie) - w każdym razie nie na lepsze i nie w istotnych własnościach - a próbując to zrobić, w imię różnorakich (najczęściej na siłę wydumanych, krótkowiecznych, a przy tym politycznie i moralnie podejrzanych) pomysłów, możesz stracić to, co godne w nim zachowania, co zasługuje na uwagę, pełen najwyższego uznania zachwyty i w końcu błogą kontemplację.

Człowiek Zachodu uległ bowiem swoistej iluzji postępu, która z biegiem czasu przerodziła się w istną kompulsywną manię, zastygłą w porażonej nią myśli w nienaruszalny właściwie dogmat. Oświeceniowy pomysł, że mianowicie „rozwijamy” się (jako gatunek bądź cywilizacja) ku lepszej przyszłości, ku epoce szczęścia bez biedy i cierpienia, niesprawiedliwości i przemocy wrósł mocno w naszą duszę, utrudniając istotnie – choć nie uniemożliwiając – spojrzenie na sprawy z zupełnie innej perspektywy. Tymczasem, jeśli przyjrzeć się uważnie i krytycznie filarom, na którym posadowiona została wiara w przyszłą, ziemską, szczęśliwość ludzkości, to zobaczymy, iż ulegają one - na naszych oczach – swoistemu samostrawieniu, autoanihilacji, objawiając tym samym swoją kruchość i dziejową przygodność. O jakich filarach tu mowa? Będą to mianowicie: nauka nowożytna (jako projekt teoretyczny

i wynikający zeń światopogląd) z towarzyszącą jej technologią oraz polityczno-gospodarczy system liberalnej demokracji. Na tych to podporach utrzymywał się (i nadal jeszcze się utrzymuje, choć chwiejnie) oświeceniowy przesąd nieuchronnego postępu od wieków „ciemnych”, „brudnych” i „brutalnych” ku wszechświatowej jasności racjonalnego poznania i wolnego od zabobonów życia. Przyjrzyjmy się tedy, z konieczności pokrótce, dzisiejszej kondycji tych myślowych i politycznych kariatyd, co uwodziły nas swymi pozornie tylko doskonałymi i obiecującymi wiecznotrwałości kształtami.

I tak, nauka i technologia, nie przywiodły człowieka do zacisznego portu szczęśliwości. Daleki jestem od negowania wartości poszczególnych naukowych odkryć i technologicznych udogodnień – żadną miarą nie jest to moim celem. Byłoby to zresztą obłudne skoro z udogodnień tych sam korzystam. Nie sposób na przykład nie myśleć z wdzięcznością o przedłużającej życie i uwalniającej od bólu technologii w medycynie (nawet mając świadomość, iż jej rozwój wydaje nas na nowe choroby i inne cierpienia i że – generalnie mówiąc – zdecydowaną większość dzisiejszych chorób jest skutkiem rozwoju, czy też nawet przerostu, cywilizacji, która także technologię wytworzyła). Niemożliwym byłoby również zlekceważenie jej roli w w szczytnym dziele uwalniania człowieka od ciężkiej pracy fizycznej, głównie w rolnictwie i przemyśle. Tych zasług nauce i technice odbierać nie mam zamiaru. Chodzi jedynie o to, że nie sprawdziły się one jako projekt totalny (etyczny, epistemologiczny, ontologiczny zarazem, a przy tym jeszcze społeczno-polityczny, a w efekcie też „eschatologiczny”), mający generować odpowiedzi na wszystkie ludzkie pytania i lekarstwa na wszelkie bolączki. Co więcej, za niewątpliwe poszerzenie

horyzontów ludzkiej wiedzy otrzymaliśmy od nich słony rachunek w postaci tego, co zwie się nieraz „odczarowaniem świata”, a co oznacza odarcie uniwersum z duchowej głębi, właściwej ujęciem religijnym celowości oraz integralności (moralnej i znaczeniowej), w końcu z niezbędnej chyba - by nie popaść w śmiertelny uwiąd życiowej rutyny – tajemniczości, wiary w to, że świat ma różne magiczne zakamarki, szczeliny, którymi wymknąć się można oplatającym rzeczywistość koniecznościami i przymusom - bo przecież „u Boga nie będzie żadne słowo niepodobne” (Łk 1,37), „Otoś ty uczynił niebo i ziemię siłą twoją wielką i ramieniem twym wyciągnionym: żadne słowo nie będzie tobie trudne” (Jr 32,17). Na dłuższą metę bowiem napełniająca treścią, barwą i sensem – a zatem niezbędna do pełnego przeżywania życia - wyobraźnia (w znaczeniu Blake'owskiej imaginacji) może żyć i rozwijać się tylko w obrębie religijnego przeżywania świata, tylko na religijnej wyrastać glebie (przy czym owa religijność nie musi być koniecznie precyzyjnie wyznaniowo określona czy choćby w pełni uświadomiona). A bez tejże imaginacji świat wypłyca się i pustoszeje, automatyzuje się do codziennego, bezrefleksyjnego wykonywania wciąż tych samych, wymuszonych przez pracę i społeczne obowiązki, czynności. Wewnątrz zaś tego próżniowego świata plenią się bujnie egzystencjalne i metafizyczne lęki związane z ponurymi jeźdźcami Apokalipsy: Pustką, Przemijaniem, Cierpieniem i Śmiercią. Bóg - i Jego Wyższy Świat - jest naszą jedyną od nich Ucieczką.

Kres religijnego przeżywania istnienia spowodował również atrofię odczuwania przeznaczenia – a w jego obrębie – własnego losu. Trafnie ujmuje to Roger Scruton: „Wraz z zatarciem się uczucia religijnego przychodzi utrata świadomości przeznaczenia. Ludzie potrzebują

pojęcia losu: potrzebują wierzyć, że sprawy, które głęboko ich dotyczą, można usunąć poza sferę ludzkiego działania i winy. Wiara w opatrzność łagodzi surowość tego spojrzenia. Różnice pod względem urody, zdrowia, inteligencji i zdolności są czymś naturalnym, jak również kluczowym dla naszych ideałów ludzkiej doskonałości. Kto nie postrzega ich w aspekcie losu, ten utracił kontakt z rzeczywistością ludzką, wpadł w sidła złudzenia ingerencji, które każe mu czynić kroki w stronę tego nowego, wspaniałego świata, w którym wszechstronne majstrowanie przy tym, co dane niszczy zarazem naturę i wartość"[1]. A zatem zanik przeżywania własnego życia jako metafizycznego przeznaczenia, ustanowionego mocą Boga (Transcendencji) i od wieków wpisane w architekturę Bytu, powoduje, iż zaczynamy postrzegać sekwencje wydarzeń własnej egzystencji jako splot przypadkowych okoliczności i niekoniecznych, pozbawionych wewnętrznego związku zdarzeń. Ta znowuż wizja wtrąca nas w szkodliwą (bo generującą nerowy pośpiech i przerost ego) iluzję „kowałstwa” własnego losu, a więc przekonanie, iż na konfigurację tychże przygodnych okoliczności możemy mieć istotny wpływ – a jeśli nie mieliśmy, to nasze to tylko niedopatrzenie, nasza bierność, lenistwo i słabość. Stajemy się tedy jedynymi odpowiedzialnymi za własne życie (bo przecież nie można obarczać odpowiedzialnością – a więc i możliwą winą bądź zasługą – bezosobowego „rzutu kośćmi” czy „efektu motyla”), przeżywając je jako złowieszcze pole walki z czychającymi zewsząd groźnymi „przypadkami”. Tracimy tedy zaufanie do własnego przeznaczenia i do tego, że doprowadzi nas ono dokładnie tam, gdzie od początku winniśmy dojść. Opuszcza nas tym samym elementarne poczucie ontologicznego bezpieczeństwa i ufności w „swoją Gwiazdę”, takie mianowicie, że nie stanie nam się nic Złego i Straszego, w każdym razie nie prędzej niż dopełni się wyznaczone nam zadanie i los. Ja sądzę, że lepiej być łagodnym, przyjmującym

pokornie to, co się wydarza „kwietystą” niż drapieżnym na ogół i nadpobudliwym „kowalem” własnego losu. W tym również duchu staram się nauczać swoich studentów.

Zgubne skutki „odczarowania” świata przez naukę (a po części – trzeba uderzyć się w pierś – także i filozofię) trafnie ujmuje Hans Freyer. Przywołajmy zatem, tytułem podsumowania, jego słowa: „Wszystkie mionione epoki miały poczucie jakiegoś zakorzenienia. Gdy mówiły 'rozum', miały na myśli siłę sprawczą, która nie tylko konstytuuje człowieka, ale także wprowadza ład do świata. Gdy mówiły 'człowiek’ miały na myśli cudownie zakorzenioną istotę, obmywaną wszechmocą, sensowną w losie, dokonaniu i ciele, harmonizującą z ziemią, na której miała żyć. Gdy mówiły 'natura' miały na myśli nienaruszalną, nie dającą się naruszyć całość, do której zawsze moglibyśmy powracać i od której, w gruncie rzeczy się nie oddaliliśmy. Na którejś z tych podwalin spoczywało zawsze dzieło czasu: na człowieczeństwie, na prawdzie, na wiecznym prawie. Tymczasem społeczeństwo przemysłowe gruntuje się wyłącznie na rachunku materii i sił, z których jest zbudowane. Nie powstaje na organicznym gruncie, ale swobodnie szybuje. Żaden sok nie wpływa do niego jako własna racjonalność. Jest dziełem inżynierskim, a zatem zwykłym ryzykiem”[2]. Oto więc tęsknota za zakorzeniem, za „organiczną” więzią człowieka z otaczającym światem, który nie jest polem bitwy ze złośliwymi i niebezpiecznymi „przypadkami”, ale żyzną glebą, z której wyrasta nasze bycie.

Nie spełniła naszych oczekiwań i pokładanych w niej nadziei także liberalna demokracja. A przecież jeszcze pod koniec ubiegłego stulecia Francis Fukuyama głosił tryumfalnie koniec historii: oto po upadku komunizmu większość krajów naszego globu dotarła, lub za chwilę dotrze - powiadał - do portu przeznaczenia, jakim jest właśnie

polityczny system liberalnej demokracji wraz z koniecznie mu towarzyszącą gospodarką wolnorynkową. Wydawało się, że w istocie imperatyw liberalności zapewni ludom moralną i polityczną wolność, a demokracja zagwarantuje możliwość uzyskania dla niej rzeczywistej reprezentacji w strukturach władzy. Mechanizm („niewidzialna ręka”) wolnego rynku, uprawomocni natomiast swobodę gospodarczą, a ta znowu zaowocuje prędzej czy później powszechną zamożnością – a więc i szczęśliwością (do dziś wszak mierzą ją niektórzy posiadaniem określonych dóbr). A zatem liberalna demokracja obiecywała wolność i zamożność – nie dała zaś ani jednego ani drugiego, w każdym razie nie w takim stopniu, który by można uznać za zadowalający. Dlaczego?

Nie jestem ani ekonomistą ani politologiem, a przeto nie poważę się na bardziej szczegółową analizę tegoż problemu, ale podzielić się mogę moimi uwagami dotyczącymi zjawisk powszechnie zauważalnych. Problemy z liberalnymi podstawami ustroju, czy szerzej nawet: z liberalną filozofią polityczną, dostrzeżono, szczególnie w środowiskach konserwatywnych, już dawno. Liberalizm opiera się na antropologicznym uznaniu pełnej autonomii jednostki, zdolnej do efektywnego samostierowania i osiągnięcia wyznaczonych sobie, niezależnych od charakteru danej wspólnoty celów – innymi słowy, zawsze dąży do maksymalizacji własnych „zysków”. W przekonaniu liberałów zarówno społeczeństwo, jak i państwo są „umowne”, kontraktowe, godne szacunku o tyle, o ile gwarantują jednostce przestrzeń dokonywania swobodnych wyborów oraz powiększania jej stanu posiadania – to właśnie podstawowe filary rozumianej na sposób liberalny człowieczej samorealizacji. Nie istnieją przy tym żadne wiecznotrwałe zobowiązania jednostki w stosunku do wspólnoty, bo też i nie ma żadnej wspólnoty – a jedynie luźny zbiór autonomicznych (stanowiących same dla siebie jedyny fundament) podmiotów, nie mających żadnych zobowiązań wobec takichże podmiotów niegdyś

żyjących lub tych co żyć będą dopiero w przyszłości – każde pokolenie ma bowiem prawo być skupionym w pełni na własnej jedynie bytowej satysfakcji. Powszechnie uznawany za „ojca” konserwatyzmu Edmund Burke, już przeszło dwieście lat temu piętnował takie podejście i wskazywał jego zgubne skutki. Przytoczmy *in extenso* stosowny fragment: „Jedną z pierwszych i najgłówniejszych zasad uświęcających państwo i prawo jest zasada głosząca, że jego przejściowi właściciele i dożywotni dzierżawcy nie powinni działać tak, jakby byli jego wyłącznymi panami, niepomni na to, co otrzymali od przodków, i co winni są potomnym. – powiada Burke - Nie powinni sądzić, że mają prawo do wydziedziczenia następców, оголоcania spuścizny, poprzez niszczenie wedle zachcianek całej pierwotnej tkanki ich społeczeństwa, bo postępując w ten sposób, ryzykują pozostawienie tym, którzy przyjdą po nich, ruiny, a nie mieszkalnej budowli i uczą swych następców takiego lekceważenia ich dokonań, jakiego doświadczyły z ich strony instytucje przodków. Taka pozbawiona skrupułów łatwość dokonywania w państwie zmian tak często, tak dużych i w taki sposób, jak nakazywałyby przemijające fantazje i mody, przerwałoby ciągłość istnienia państwa. Żadne pokolenie nie mogłoby nawiązać do poprzedniego. Ludzie nie różniliby się od roju much. [...] Zarozumiałość i arogancja (cechujące niezawodnie wszystkich ludzi, którzy nigdy nie dostrzegli mądrości większej niż ich własna) zawłaszczyłyby prawo sądenia. I oczywiście żadne ustalone prawa, stanowiące niezmienną glebę nadziei, nie utrzymywałyby działań ludzi w pewnych koleinach ani nie kierowały ich ku określonemu celowi. Żaden stały element w stosunkach własnościowych czy regułach sprawowania władzy nie tworzyłby już trwałego fundamentu, dzięki któremu rodzice mogliby rozważać sposoby kształcenia swych dzieci i wybierać ich przyszłe miejsce w świecie. [...] **Żadna sfera życia nie utrzymałaby swych zdobyczy. Barbarzyństwo w domenie nauki i literatury, nieporadność w rzemiośle i przemyśle okazałyby się nieuchronną konsekwencją braku rzetelnej edukacji i ustalonych zasad, a za**

**sprawą tego wszystkiego także samo państwo w ciągu kulku pokoleń rozpadłoby się, zamieniło w proch i pył pojedynczych części, rozwiewanych przez wszystkie wiatry świata [podkreślenie – B.]”[3].**

To, co w czasach Burke'a było ponurą antyutopią stało się obecnie rzeczywistością. Wszechładni dziś niemal liberałowie (a już zwłaszcza lewicujący) zachowują się jakby spadli z Księżyca jako absolutne *tabula rasa*, a przy tym panowie samych siebie, samodzierżawni monarchowie, w miniaturowych królestwach swych kruchych ciał, których władztwo gwarantuje system demokratyczny. Sądzą też, iż znikną bez śladu, nie pozostawiając po sobie żadnego „opresyjnie” działającego na potomnych dziedzictwa, żadnego toksycznego „złego spadku”, któremu ci ostatni winni byłiby szacunek i lojalność. Wypisują się zatem z historii, a tym samym również z kultury – która zawsze jest przecież historyczną, opierając się na dziejowo ukształtowanych znaczeniach, sensach i wzorcach. Emancypując się jednak z historii i kultury tracą oni wszelkie drogowskazy, które pozwoliłyby im czynić użytek z tak ważnej przecież dla nich autonomii. Wybierają zatem jak zwierzątka – instynktownie i bezrefleksyjnie – to, co przyjemne i nie wymagające wysiłku. To, co zbane, „fajne”, śmieszne; to, co lekkie, bezkonfliktowe i nie budzące niepokoju, słowem - „heheszki”. Wybierają kulturę masową, czyli nie-kulturę, anty-kulturę, manifestującą się jako niczym nieograniczony „pluralizm” powierzchownych i z reguły nie przemyślanych stanowisk i postaw, których bezsensowne mnożenie uznawane jest dziś za przejaw kreatywności i oryginalności. Pluralizm, dodajmy, „prawie” niczym nieograniczony, bowiem liberalna, lewicująca antykultura wprowadza jednak właściwe sobie wykluczenia. Trafnie ów mechanizm liberalnej eliminacji opisuje Scruton: „Zamiast obiektywizmu mamy tylko 'intersubiektywizm' innymi słowy, konsensus. Prawdy, sensy, fakty i wartości uchodzą dziś za

negocjowalne. Najdziwniejsze jest jednak to, że mętnemu subiektywizmowi towarzyszy energiczna cenzura. Ci, którzy zastępują prawdę konsensusem, szybko zaczynają odróżniać konsensus prawdziwy od fałszywego. I tak konsensus zakładany przez Rorty'ego, w jego uaktualnionej wersji pragmatyzmu, rygorystycznie wyklucza wszelkich konserwatystów, tradycjonalistów i reakcjonistów. Mogą do niego należeć tylko liberałowie, tak jak tylko feministki, radykałowie, działacze gejowscy i antyautorytaryści mogą stosować dekonstrukcję, tak jak tylko przeciwnicy 'władzy' mogą używać Foucaultowskich technik moralnego sabotażu i tak jak tylko 'multikulturaliści' mogą się posługiwać Saidowską krytyką wartości oświeceniowych. Nasuwa się nieodparty wniosek, że subiektywizm, relatywizm i irracjonalizm głoszone są nie po to, aby dopuścić wszystkie opinie, lecz wprost przeciwnie, aby wykluczyć opinie ludzi, którzy wierzą w dawne autorytety i obiektywne prawdy [podkreślenie – B.J]”[4]. A kiedy już wszystkie wartości zostaną w ten sposób podważone i zrelatywizowane wtedy okazuje się – i oto prawdziwa „wisienka na torcie” - że na arenie dziejów pozostaje jeszcze jeden niepokonany zawodnik: pieniądz. W uznaniu jego potęgi i jego zwycięstwa liberał bez sprzeciwu pozwala się ochrzcić: odtąd zwie się *homo oeconomicus*. Wie on bowiem dobrze, iż bez podłoża ekonomicznej zamożności liberalizm, opierający się na konsumowaniu skutków własnych wyborów i gromadzeniu dóbr, jest bezsensowny i niemożliwy na dłuższą metę do utrzymania. To niepodważalny fakt: liberalizm nie przyjął się na żadnym z ubogich obszarów tego świata (chyba, że zechcemy „podciągnąć” pod niego bandycki wyzysk państw azjatyckich i afrykańskich – ale to już nie liberalizm, to neokolonializm), bo jest po prostu wewnętrznie pusty. A biedak, jeśli nie może żyć chlebem, chciałby przynajmniej żyć ideą.

I tak dochodzimy do aspektu gospodarczo-ekonomicznego całego zagadnienia. Tam, gdzie uśmiercono wszystkie wartości pozostaje mamona. Ona zaś połyka na końcu i samą demokrację. System wolnorynkowy (liberalizm gospodarczy) sprzyja bowiem koncentracji i kumulowaniu się kapitału w rękach nielicznych wielkich graczy rynkowych. Tak jak ma to miejsce dzisiaj, gdy trzydziestu najbogatszych ludzi na świecie posiada zasoby finansowe większe niż trzy miliardy tych najbiedniejszych. Tak olbrzymi kapitał pozwala jego posiadaczom kupować zarówno polityków, jak i media – a za pośrednictwem tych ostatnich także oszołomionych złożonością procesów polityczno-gospodarczych wyborców. W ten sposób demokracja – zachowując swe formalno-prawne procedury – w istocie wyrodnieje w nową oligarchię, w której panami stają się szefowie i zarządzający wielkich koncernów, a w jeszcze większym stopniu zwierzchności i władze ponadnarodowych instytucji finansowych, czyli banków i rozmaitych funduszy. Cały ten mechanizm wydaje się z konieczności wieść jednak do katastrofy. W ostatecznym bowiem rozrachunku nie tylko całość środków produkcji, ale też całość kapitału w ogóle znajdzie się w rękach garstki bogaczy. Oznaczać to jednak będzie, że nie będą oni mogli zbyć swych produktów, ponieważ nikogo nie będzie na nie stać – a to znowuż doprowadzi finalnie również ich samych do ruiny. Ale to zdarzy się na końcu, giganci będą tonąć ostatni – znacznie wcześniej w nędzę popadną wielkie rzesze zwykłych, uczciwych ludzi. To się zresztą już dzieje: ponieważ nie mają oni środków, by nabywać oferowane im dobra, uruchomiono „dla nich” potężny przemysł najróżniejszych kredytów, pozwalający kupować – kosztem utraty niezależności finansowej i osobistej – nawet tym, którzy nie mają nic lub prawie nic. Dlatego to właśnie banki stanowią tak ważny element liberalnego ustroju: maskują fakt rzeczywistego

ubóstwa ogromnej większości ludzi oraz rozwarstwienia osiągającego poziom rozrywający strabilność każdego systemu. A więc, wygląda na to, że biada nam wszystkim...

Zamieszczona powyżej diagnoza grzeszy, rzecz jasna, ogromną skrótowością, ale jest w swych zarysach, jak sędzę, prawdziwa. Symptomy rozpadu świata liberalnej demokracji wolnorynkowej są na tyle liczne, iż nie sposób ich nie zauważać. Nawet jeśli prognozy okażą się nie w pełni trafne – to diagnoza pozostaje niewątpliwa. Wszystko zdaje się wskazywać, iż kultura Zachodu (i cywilizacja z tej kultury wyrosła) zejdzie ze świata w sprzedajny, kapitulanski, a co najgorsze całkowicie samozakłamany sposób, przy akompaniamencie gwizdów i szyderczych okrzyków „posteuropczyków”; że nie podejmie walki o swoje principia i o swoje prastare dziedzictwo, uznając, iż nieodwołalnie już, najpierw duchowo, później ekonomicznie, zbankrutowała; że w końcu rozkrzyczana większość jej samozwańczych przedstawicieli przedstawi jej upadek i śmierć jako największe dobrodziejstwo ludzkości. Nim jednak upadek się dopełni poprzedzą go zapewne dekady upokorzeń, bezradności, przemocy, bezwolnej obojętności na zło, politycznego rozkładu, moralnej nędzy i intelektualnej degradacji tzw. elit.

Kiedy uświadomić sobie to wszystko – świat dawny, Stary Ład, jawić się zaczyna (mimo swych licznych przecież usterek i niedoskonałości) jako pełen wyższego sensu i jakiejś wewnętrznej uczciwości i prawdy. Pełen treści, solidny w konstrukcji i użytych materiałach, o harmonijnie wyważonych proporcjach między Transcendencją a wewnątrzświatowością, wiecznością a czasem, duchem a materią, tożsamością a zmianą. Tak solidny jak ongisiejsze zamki i pałace w porównaniu z dzisiejszymi biurowcami i kontenerami mieszkalnymi.

Obliczony był on bowiem na długie trwanie, na zachowanie się przez pokolenia, podobnie jak wszelkie artefakty i instytucje miały trwać przez wieki i umacniać, stabilizować świat, dając ludziom poczucie bezpieczeństwa i ładu. Podobnie długowieczne miały być otaczające człowieka przedmioty codziennego użytku – dlatego przechodziły z pokolenia na pokolenie, wzmacniając istotnie więź między generacjami. Nieraz próbuję przywołać stany umysłu dawnych ludzi: spoglądam na przykład na cudowne wnętrza starych katedr i kościołów nie po to, by podziwiać je jako wspaniałe i szacowne zabytki minionych nieodwołalnie epok, ale po to, by wyobrazić sobie chociaż przez chwilę żywe doświadczenie, z którego wyrosły, doświadczenie budowniczych, malarzy, rzeźbiarzy i kapłanów – ich wewnętrzny świat, w którym odbijał się sensowny, stworzony przez Boga kosmos. Próbuję wyobrazić sobie ludzi, przychodzących do tych kościołów pięćset czy siedemset lat temu i przeżywających w nich swą wiarę i cały dokolny świat zmierzający (w jej świetle) krętymi drogami Historii do ostatecznego Przebóstwienia (*apokatastasis*), które jest nieuniknione bez względu na wszelkie zło i marność, które się wydarzą po drodze. Którzy wierzyli, że nie zginie to, co dobre i nie będzie trwało to, co podłe; którym obce było poczucie pustki i wyobcowania względem ludzi, Natury i samych siebie. Myślę, że w świecie takich duchowych, estetycznych, intelektualnych i moralnych doznań każdy konserwatysta chciałby żyć – z tego pragnienia każdy konserwatyzm wyrasta i z niego czerpie swe żywotne soki. W pewnym sensie, w swym duchu, każdy zachowawca już w nim żyje. Nie wiem czy poza wyobraźnią można jeszcze wskrzesić jakoś to, co dawne. Ale warto chyba próbować, a przynajmniej do końca bronić tego, co z Starego Świata jeszcze tu i ówdzie zostało. Kto wie? Może z tych resztek odrodzi się kiedyś Duch?

*Bartosz*  
*Jastrzębski*  
Pustelnia

6 luty 2016

[1] R. Scruton, *Co znaczy konserwatyzm*, przeł. T. Biedroń, Poznań 2014, s. 299

[2] Cyt. za: B. Szlachta, *Szkice o konserwatyźmie*, Kraków 2008, s. 79.

[3] Cyt. za: B. Szlachta *Szkice o konserwatyźmie*, op.cit., s. 90-91.

[4] R. Scruton, *Kultura jest ważna. Wiara i uczucie w osaczonym świecie*, przeł. T. Biedroń, Poznań 2010, s. 103.